

Rozdział 5

In vodka veritas

Picie było jednak o wiele skuteczniejsze, zawsze przynosiło ukojenie. Z biegiem czasu, po wielu, wielu drinkach ta wiedza zostaje przyswojona, lekcje zapadają w duszę – alkohol uspokaja. Alkohol koi i osłania, jest balsamem dla ducha. Czy to otworzyło przede mną drogę do alkoholizmu? Nie byłam skłonna tak uważać jako nastolatka i na progu dorosłości, nie na podstawie tego, co widziałam wokół siebie. Czytając książki, oglądając filmy w kinie i telewizji, łączyłam picie z atmosferą koleżeństwa, stuprocentową męskością, wyrafinowaniem. Proste obrazy: chłopaki pociągające piwo z kufli po pracy, Nick i Nora trącający się kieliszkami w filmie *Papierowy człowiek*. Wiedziałam, że ludzie popadają w kłopoty z powodu alkoholu, ale przypadki te wydawały się odosobnione i tak odległe, na dodatek nie miały nic wspólnego ze mną. Betty Ford – no cóż, była żoną prezydenta, można sobie wyobrazić, jaki to stres. Sławne ofiary nałogu – Marilyn Monroe, Judy Garland, Liza Minelli, Elizabeth Taylor i wiele innych – załamały się, nie wytrzymując presji własnej sławy, niezwykłych karier i stylu życia. Kto by wytrzymał?

Gdy chodzi o nas, pozostałych, picie było czymś zupełnie normalnym i przeważnie miało charakter towarzyski – uwalniało cię od samej siebie i wprowadzało w świat: do barów, na przyjęcia, do wytwornych restauracji. Myśl, że alkohol może odgrywać bardziej złożoną, wewnętrzną rolę, że może działać na znacznie głębszej płaszczyźnie emocjonalnej, nie docierała do mnie.

Mimo to raz znalazłam aluzję, drobną wskazówkę zawartą w pewnym zdaniu z ostatnich stron książki pod tytułem *Getting Better* [Powrót do zdrowia] autorstwa Nan Robertson, dziennikarki „The New York Timesa”. Egzemplarz recenzencki znalazł się na moim redakcyjnym biurku w 1988 roku. Książka opisywała ruch Anonimowych Alkoholików: jak powstał, jak działa, jakie miejsce zajmuje w dzisiejszych rozważaniach o alkoholizmie. Przerzuciłam ją w moim kącie, myśląc: „Hm. AA. Kogo to obchodzi?”. Ale potem zaczęłam czytać ostatni rozdział, zatytułowany *Nan's Story* [Historia Nan], i natknęłam się na opis jej sposobu picia. Napisała, że była nudna: nigdy nie robiła się płacziwa ani czułościowa, nie wymiotowała ludziom na ubrania, nie urządziła krępujących scen. Jeśli upiła się na przyjęciu, szukała gościnnego pokoju, zasypiała na godzinę (uważała to za „pokrzepiającą drzemkę”) i wracała, zdumiona, czemu pozostali goście dziwnie się jej przyglądają. Dodała: „Wycofywałam się także w inny, subtelniejszy sposób. Mój mąż mawiał: »Kiedy Nan się nawali, zaszywa się w małym pokoiku wewnątrz własnego umysłu i zaciąga zasłonę»”.

To zdanie na wiele lat utkwilo mi w pamięci. Różniło się zdecydowanie od wszystkiego, co wcześniej czytałam o piciu i pijakach, tworzyło zupełnie inny obraz osoby pijącej niż te, z którymi się dotychczas zetknęłam, czyli kogoś męskiego i twardego lub eleganckiego i gładkiego. „Zaszywa się w małym pokoiku wewnątrz własnego umysłu i zaciąga zasłonę”. Obraz ów, nie precyzując tego, nawiązywał do miejsc, w które może cię zabrać alkohol. Nawiązywał do przeniesienia, do realnego – i niezmiernie dla alkoholików kuszącego – zjawiska duchowej ucieczki, uwolnienia się od siebie po przełknięciu nieskomplikowanej substancji.

Odczytywałam to zdanie wciąż na nowo.

Wielu z nas pije, żeby w ten sposób uciec, dosłownie przelać się w nową osobowość: otwieramy butelkę, korek wyskakuje, wślizgujemy się w nie swoją skórę. Płynne przekształcenie od wewnątrz.

Na każdym kroku dowiadujemy się, że jest to możliwe, informacja wkrada się w nas i zagnieżdża w mrocznych zakątkach, w których kryją się fantazje. Widzimy to na billboardach, na lśniących wkładkach w czasopismach, w kinie i telewizji. Oglądamy przytulone pary przy kominkach, sączące brandy z pękających kieliszków, w których migocze odblask płomieni; oglądamy grupy wytwornych osób w restauracjach, wznoszące uroczyście kieliszki wina; oglądamy przypieczętowanie przyjaźni w barze nad ciemnymi butelkami piwa. Płyną zwierzenia, problemy zostają rozwiązane, rozkwitają romanse. Patrzymy, zdobywamy wiedzę, a producenci wina, piwa i wysoko-procentowych alkoholi wydają rocznie ponad miliard dolarów, aby tę wiedzę ugruntować – picie nas przeobrazi.

I tak się dzieje, przynajmniej chwilowo. Alkohol rozmywa w nas te cząstki, które są źródłem bólu lub zmartwień, i wydobywa na powierzchnię inne „ja”, wersję nową, poprawioną i zdecydowanie mniej skłóconą z życiem. Po pewnym czasie staje się główną siłą napędową tej wersji, równie niezbędną, by ruszyć naprzód, jak pedał gazu w samochodzie. Bez drinka jesteś wersją A. Z drinkiem – wersją B. Nie przejdziesz od A do B bez odpowiedniego wyposażenia.

Mój znajomy, Alex, określa siebie jako towarzyskiego introwertyka – nie potrafi znieść samotności, nie potrafi usiedzieć spokojnie sam na sam z własnymi myślami, a jednocześnie jest straszliwie nieśmiały. Kiedy więc w szkole średniej odkrył alkohol, pomyślał: „Ach, eliksir”. Po jednym, dwóch, trzech piwach mógł rozmawiać z każdym. Tkwiące w nim głęboko coś, co kazało mu się wiercić i robić miny, i co odczuwał jako nieustanne, dokuczliwe igiełki zażenowania, po prostu znikало. Cała jego istota zdawała się nabierać właściwych wymiarów.

Kiedy Alex opowiada o tym na mityngu AA, cała sala przytakuje: „Racja. Oczywiście”. Wszyscy żyliśmy zgodnie z tym równaniem, każdy znany mi alkoholik: SKRĘPOWANIE + DRINK = BRAK SKRĘPOWANIA. Matematyka samoprzeobrażenia.

„Stawałam się kimś, kogo lubiłam”. Tak powiedziała na spotkaniu kobieta o imieniu Louise w moim pierwszym miesiącu trzeźwości. Miała łzy w oczach i mówiła z nutą żalu w głosie, jakby bez tego szczególnego równania została sprowadzona do zera i nikt, w tym ona sama, nie mógł jej polubić. Dodała: „Cały ten syf, który czuję... kiedy piłam, po prostu znikał”.

Przez długi czas, dopóki działa, alkohol wydaje się przepustką do swoistego samoświecenia, czymś, co zmienia nas w osobę, którą pragniemy być albo którą w naszym mniemaniu jesteśmy naprawdę. W pewnym sensie sytuacja rozwija się w sposób dość prosty – dzięki alkoholowi wszystko staje się lepsze, dopóki nie stanie się gorsze. A picie zmienia wszystko na lepsze swobodnie i perfekcyjnie, unosząc cię i wciągając lekko w drugie „ja”.

Przeżywałam to już w okresie dorastania, w wieku czternastu, piętnastu lat. Wtedy po raz pierwszy wypiliśmy łyk martini ze szklanki ojca i poczułam na języku gin, zimny i rozgrzewający zarazem, z leciutkim cytrusowym posmakiem od pojedynczego, cienkiego plasterka cytryny. Mając czternaście lat, po raz pierwszy piłam piwo w barze – kelnerka z głuchym stuknięciem postawiła dzbanek na twardym blacie stolika, potem przyglądałam się, jak nalewa bursztynowy płyn do wysokich, oszronionych szklanek, a następnie poczułam jedną z tych szklanek w dłoni – twardą, chłodną i dodającą otuchy niczym banknot o wysokim nominale.

Przypuszczam, że to zapoczątkowało późniejszy proces kumulacji, pawłowowskie zjawisko powtarzania doświadczeń – jest mi przyjemnie, gdy białe wino płynie z butelki do kieliszka, z kieliszka do gardła, a potem do mózgu, wywołując uczucie mrowienia, ciepła i lekkości. Jest mi przyjemnie, gdy siadamy całą grupą przy stole, dotykając się łokciami, wspólnie popijając, śmiejąc się i odczuwając satysfakcję. Z czasem doznania nabrały bardziej konkretnego wymiaru – jest mi przyjemnie, gdy ogrzewam dłoń lampką koniaku, gdy dotykam wąskiego kieliszka szampana, chłodnego i delikatnego jak masa